



Naukowcy zauważają istniejące różnice antropometryczne u ludzi z Wileńszczyzny w porównaniu z resztą Litwy i Żmudzią
Fot. Aleksander Borowik

Bezprecedensowy w ciągu całego okresu powojennego propagandowy atak na litewskich Polaków wynika z nieudolnie maskowanej bliskowzrocznej chęci znaczącej części społeczeństwa litewskiego depolonizować Wileńszczyznę.

Natomiast polityczna „wierchuszka”, budząc ukryte animozje i reanimując stare historyczne porachunki, jest wciągnięta w nasilającą się kampanię antypolską. Wychowani na przedwojennych stereotypach, bujnie wzrastających w nacjonalistycznie nastawionym społeczeństwie litewskim, różni działacze, od lewych do prawych, jednoczą się na umiłowanej płaszczyźnie — antypolskości.

Pomijając nacjonalistyczny spryt polityków, popełniających błąd za błędem, ale wciąż dzierżących ster władzy państwowej polityków, którzy w rewelacyjny sposób potrafili przesunąć uwagę z problematyki ekonomicznej i socjalnej na narodowościową, spróbujemy spojrzeć, co jest podstawą formalną do oskarżania Polaków i jakie stereotypy duszą stosunki polsko-litewskie.

Tym bardziej, że nie tylko czynniki ekonomiczne, ale także tradycje kulturowo-historyczne odegrały wielkie znaczenie.

W moim przekonaniu, ślepa, aczkolwiek zupełnie szczerza, wierność stereotypom antypolskim i niechęć zrozumienia Polaków tkwi w różnym pojęciu sensu narodowości.

Pojęcie Litwina w czasach Wielkiego Księstwa Litewskiego bardzo różniło się od pojęcia w dobie obecnej. W czasach Księstwa dominowało pojęcie narodowe według prawa jus terris, czyli prawa ziemi. Każdy mieszkaniec WKL był uważany za Litwina, nawet ten, który mieszkał w miejscowości, gdzie litewskość etniczna nigdy nie docierała i nikt nie rozmawiał po litewsku (Kamieniec Litewski, Brześć Litewski). Na tej samej podstawie Radziwiłłowie, Adam Mickiewicz, Tadeusz Kościuszko czy też Józef Piłsudski mogli powiedzieć, że są Litwinami. Radziwiłłowie zresztą szczerze sprzeciwiali się możliwości zawarcia Unii Horodelskiej jak też Lubelskiej, chociaż podstawową przyczyną tego wcale nie był ewentualny wpływ mowy polskiej i kwestia językowa, ale obawa przed uszczupleniem politycznych i ekonomicznych wpływów magnaterii litewskiej.



Józef Piłsudski mówił, że jest Litwinem Fot. archiwum

Językiem domu Radziwiłłów zawsze był któryś z języków słowiańskich, od starobiałoruskiego po polski. W „Dziadach” Adama Mickiewicza wizję etniczną żołnierz wileński wypowiada słowami: „Chrześcijaninem jestem i Polakiem, witam cię Krzyża i Pogoni znakiem”, a w „Księgach pielgrzymstwa polskiego” czytamy: „Litwin i Mazur bracia są; czyż kłóć się bracia o to, iż jednemu na imię Władysław, drugiemu Witowt? Nazwisko ich jedno jest: nazwisko



Polaków”. Te ostatnie słowa Wieszcza, gdyby obecnie padły z ust działaczy ZPL i AWPL lub, nie daj Boże, przedstawicieli Macierzy, wywołałyby zapewne istną burzę medialną.

Bo też jakże mają ustosunkowywać się Polacy do jagiellońskich tradycji i dziedzictwa kulturowego Wielkiego Księstwa Litewskiego? Mamy się ich wyrzec, by zamiast ducha Mickiewicza i Słowackiego przyłgnąć do obcych nam źródeł antypolskości i słów uwielbianych przez dzisiejszych

Litwinów, wychowanych na twórczości takich poetów jak Maironis, który pisze o Polakach jako o wyrodkach („lenkas — išgama tautų”)?

W drugiej połowie XIX wieku, po Powstaniu Styczniowym, zaszła wielka zmiana, nastąpił okres identyfikacji narodów według prawa krwi — jus sanguinis, czyli według kryterium etnicznego, opierającego się na przesłankach językowo-kulturalnych, przy tym proces awersji do Polaków był kontrolowany przez carskie czynniki miarodajne, umiejętnie zaszczerpione Litwinom etnicznym. Za cara język polski był zakazany, a wszystkie dekryty Moskali bardzo przypominają obecne posunięcia władz litewskich: w sprawie posiadania i zwrotu ziemi, a szczególnie i przede wszystkim w dziedzinie oświaty. By się o tym przekonać, wystarczy zapoznać się z kolejnymi sprawozdaniami wileńskich gubernatorów w przeciągu całej antypolskiej działalności, szczególnie — po Powstaniu Styczniowym.

Wówczas i później nastąpił niefortunny podział, który drastycznie i boleśnie przechodził przez więzy krwi, a członkowie tej samej rodziny mieli różne spojrzenie na wizję etniczną. Przykładów jest sporo: Tadeusz Iwanowski, słynny biolog, założyciel kowieńskiego ZOO, urodzony w polskiej rodzinie, pochodzący z folwarku Lebiodka koło Lidy, uważał, że jest Litwinem i stał się Tadasem Iwanauskasem. Jego rodzony brat Wacław poczuł się Białorusinem, a będąc działaczem białoruskiego ruchu narodowego i założycielem Białoruskiej Służby Ojczyźnie, wymagał, by nazywano go Wacław Iwanouski. Trzeci brat — Jerzy Iwanowski piastował tekę ministra przemysłu i handlu w odrodzonej Polsce, był sceptycznie ustosunkowany do narodowościowego wyboru braci. Popierał go w tym uważający się również za Polaka czwarty z braci, Stanisław Iwanowski, wileński adwokat.

Słynna skrzypaczka i kompozytorka europejskiej sławy, Grażyna Bacewicz uważała, że jest Polką, a jej brat Kiejstut, także kompozytor, choć obydwoje urodzili się w Łodzi, uważał się za Litwina — Kęstutisa Bacevičiusa. Osobiste przekonania i samookreślenie się, nawet po półwiekowym namyśle filozoficznym, zasugerowały antypolsko nastawionemu politykowi Romualdasowi Ozolasowi zmienić narodowość z Łotysza na Litwina.

Jeśli wierzyć Czesławowi Miłoszowi, przodkowie Landsbergisa mieli niemieckie pochodzenie, przybyli na Litwę z Napoleonem z Niemiec, ale w ciągu XIX wieku spolszczyli się. Taka była ich niewymuszona wola. Byłoby wielkim nietaktem sugerować szanownemu Vytautasowi Landsbergisowi niemieckie lub polskie pochodzenie, skoro chce być Litwinem.



Część rodziny Landsbergisów stała się Žemkalnisami, tłumacząc nazwisko na język litewski, inni zostali Landsbergisami Fot. archiwum

Lider partii chrześcijańskich demokratów, Mikołaj Krupowicz, który w czasach Litwy Kowieńskiej stał się Mykolasem Krupavičiusem, po objęciu rządów przez ludzi Taryby, stawiał Polakom za przykład rodzinę Landsbergów, przemawiając w Sejmie Litewskim w 1920 roku: „Landsbergiai nors lenkai, tačiau tikri Lietuvos patriotai” („Lansbergowie, chociaż Polacy, są prawdziwymi patriotami Litwy”). Część rodziny Landsbergów stała się Žemkalnisami, tłumacząc nazwisko na język litewski,

inni zostali Landsbergisami, oczywiście uważali się i uważają za prawdziwych Litwinów i nikomu do głowy nie przychodzi wmawiać, że są lituanizowanymi Niemcami bądź Polakami.

Pokutujące wśród Litwinów przekonanie, rzekomo Polacy Wileńszczyzny – to spolszczeni Litwini (przy czym, co warto podkreślić, etniczni Litwini) jest tak głębokie, iż ma oznaki wiary. Wiary, a raczej obsesji, opierającej się na przekonaniu, iż każdy rdzenny mieszkaniec Wileńszczyzny jest etnicznym Litwinem. Tak twierdzą nie tylko etatowi polakożercy w rodzaju językoznawcy Kazimierasa Garšvy czy psychiatry Gintarasa Songailis, ale także cała rzesza polityków i działaczy społecznych.

Rdzenny kowieńczyk, pisarz i polityk, który nadzorował litewskie wydania encyklopedyczne, a więc, wydawałoby się, świątły człowiek – Saulius Stoma, palnął względem Polaków Litwy: „Otóż sprawa w zasadzie jest bardzo prosta. Wszyscy obywatele Litwy są Litwinami. Nieważne, jaki on jest: czarny, niebieski lub czerwony”. No i proszę, nie ma więc Polaków na Litwie? Czy pan Saulius miał na myśli pojęcie etniczne, tego nie tłumaczy, ale manipuluje ładnie. Zresztą, jacyż intelektualiści litewscy zadają sobie trudu oburzenia się: dlaczego i jakim prawem niektórzy mają bezczelność i chęć pozbawienia nas narodowości? Chyba nieliczni i na domiar wnet niesłusznie oskarżani o zdradę.

A przecież bycie Litwinem etnicznym i obywatelem Litwy – to absolutnie różne pojęcia. W Rosji istnieje pojęcie obywatelskie „rossijanin” i etniczne „ruskij”. W jakim więc kontekście trzeba rozumieć wypowiedzi Stomy i mu podobnych? Jeśli w etnicznym – to skandal! Jeśli w obywatelskim, nikt nie neguje, że jesteśmy obywatelami Litwy. Dlaczego Litwini nie postrzegają swojego etnocentryzmu, o którym wspominał szanowany rzekomo także przez nich Czesław Miłosz, który nieraz kpił z obsesji litewskich, twierdząc w książce „Szukanie Ojczyzny”, iż: „jednojęzyczność stała się obsesją litewskich działaczy oraz wolą stworzenia rzeczywistości, jak gdyby podyktowała wynalezienie nazwy Vilnius, choć miasto nigdy tak się nie nazywało. W dawnych kronikach występuje jako Vilna albo Vilnia, a jeszcze Taryba używa nazwy Wilno”.

Wymyślona nazwa przypadła do gustu etnicznym Litwinom i niech tak będzie w języku litewskim, ale czy my – Polacy Litwy – ponosimy winę za to, że używamy pierwotnej formy, że jesteśmy przywiązani do nazw, które w ciągu stuleci drukowano na mapach i dokumentach Wielkiego Księstwa Litewskiego nie z przymusu, lecz z woli rządzącej arystokracji litewskiej?

Chodzi zresztą nie tylko o Wilno. Skoro jest Rok Miłosza, wybitnego rodaka-noblisty, który ma przecież większy autorytet na świecie niż wszyscy razem wzięci jawni i krypto anty Polacy, jak pan Garšva bądź Stoma z Povilasem Gylysem włącznie (który nawet posunął się do paranoicznego głędzenia o jakiejś tajnej strategii anty litewskiej, występującej u Polaków) czy wyróżniający się ostatnio antypolską retoryką Anatolijus Lapinskas, warto przytoczyć słowa poety dotyczące spojrzenia na etniczność: „W Wilnie, inaczej niż na Litwie etnicznej”, które wyraźnie sugerują, jak było z tą sprawą etniczną w rzeczywistości.

Lejącym krokodyle łzy działaczom i publicystom litewskim nawet do głowy nie przychodzi, że pojęcie Litwina w czasach WKL nie było etniczne! Jest to kamień, o który potykają się kolejni „obrońcy” Wileńszczyzny. Dlaczego litewscy puryści o swojej etniczności nie zechcieli dyskutować z Miłoszem? Wyżej wymienione słowa poety, gdyby nie stanowiły treści książki „Szukanie Ojczyzny”, a zostały wypowiedziane przez któregoś z liderów polskiej mniejszości, zapewne wywołałyby nie mniejsze oburzenie niż słowa europośła Waldemara Tomaszewskiego o potrzebie integracji Litwinów na Wileńszczyźnie.

Ponieważ na Litwie również obchodzony jest Rok Miłosza, oburzonym na Polaków Litwinom warto wsłuchać się i przyjąć do serca poniższe słowa wybitnego poety: „Dawna Litwa nie chciała nikogo nawracać na swój język i wiarę, ta nowa wyznaczyła sobie misję depolonizacji, posługując się argumentem, że przecież to wszystko Litwini, tylko nie uświadomieni”. Czy słowa te osiągną umysłów nie tylko rzeszy litewskich oszołomów, zgrywających patriotów, świadomie lub nieświadomie rozkręcających koło nienawiści, znieważając swoich współobywateli, usiłujących pielęgnować tradycje WKL i mowę przodków, mimo zadanych ciosów sowietyzacji, blizn rusyfikacji, które pragnie zastąpić lituanizacja? Czy znajdują się mądrzy Litwini, rozumiejący, że wspólne dobro

wszystkich obywateli różnych narodowości z uwzględnieniem tak delikatnej materii, jak zachowanie tożsamości, języka i kultury, jest potrzebne całej naszej wspólnej ojczyźnie Litwie i tylko takie podejście skonsoliduje cały naród Republiki Litewskiej?

Piotr Stołypin – słynny reformator rosyjski, uznawany za jednego z najbardziej mądrych polityków Rosji, działający przez pewien okres też na Litwie, wypowiedział niegdyś znamienne słowa: „Naród, niemający samoświadomości narodowej, jest nawozem, na którym wyrastają inne narody”. Jeśli ktoś dąży do przekabacenia i przekształcenia nas w ten nawóz, gorzko się myli. Mamy swoją specyfikę i wielowiekowe tradycje, stąd utracenie autentycznego jestestwa jest dla nas równo warte śmierci.

Nieraz przedstawiciele tej lub innej narodowości, ulegając presji litewskich nacjonalistycznych stereotypów, wbijanych w nierozgarnięte młode główki, rezygnują ze swojego pochodzenia, wyrzekają się języka, wystawiając świadectwo nędzy ducha ich rodziców i własnej. Jest to mimo wszystko ich prawo, a samookreślenie się stanowi najważniejszy czynnik. Nie wolno, natomiast ulec temu, by ludzie, pragnący pozbawić nas prawa być autochtonicznymi Polakami Litwy, a nie spolonizowanymi Litwinami oraz by ich zwolennicy uszczuplali prawo do samookreślenia się mieszkańców według ich sumienia.

Działacze litewscy koncentrują badania głównie na etnolingwistycznych przesłankach, o wiele bardziej chwiejnych niż genetyczne. Jak wiadomo, język ojczysty można przekabacić na inny w dość szybkim czasie, nawet w ciągu dwóch-trzech pokoleń. Charakterystyka genetyczna narodu jest natomiast bardziej trwała, pozostaje bez zmian, a czynniki etnolingwistyczne, język, obyczaje nie mają na nią żadnego wpływu. Za taką charakterystykę w XXI wieku uważa się posiadanie określonych genetycznych haplogrup, których procentowa zawartość może zmieniać się jedynie pod warunkiem obcego genetycznego wpływu.



Chciałbym zobaczyć, co by się stało, gdyby podobną logiką posługiwali się ot choćby Indianie-Apaczowie Fot. archiwum

Wspomniany profesor Povilas Gylys zjechał na stwierdzenie, podtrzymywane zresztą chóralnie przez licznych etnicznych Litwinów, że „areal” litewskości był historycznie zawsze bałtycki nie słowiański, co jakoby daje prawo pozbawiania nas praw. Rozumując logiką pana Gylysa, który, ku mojemu zaskoczeniu, zrzucił maskę i ujawnił twarz etnocentrysty dopiero w wieku emerytalnym, chciałbym zobaczyć, co by się stało, gdyby podobną logiką posługiwali się ot choćby Indianie-Apaczowie, Siu lub Huroni gdzieś w USA, chcąc pomniejszyć status języka angielskiego? Ale nawet i w tym wypadku, przykład byłby nietrafny, ponieważ

na Litwie język polski był przyjęty przez elity władców i oficjalne duchowieństwo, a Litwini nie byli prześladowani jak Indianie, ponieważ współrzadzili.

Skoro, jednak zarzuca się nam, że jesteśmy tylko spolonizowanymi Litwinami, rzekomo zdrajcami etnicznej litewskości (chyba Mickiewicz, Moniuszko, Miłosz etc., także?), spójrzmy, jak wygląda stan genetyczno-pochodzeniowy ludzi, zamieszkałych na Wileńszczyźnie. Wcale nie mam zamiaru znaleźć powody, by komuś dowieść, że jest przybyszem. Chcę tylko podać do wiadomości niektóre dane badań najbardziej znanych litewskich naukowców genetyków.

Żeby nikt nie oskarżył mnie o stronniczość lub nie wytoczył sprawy „Kurierowi Wileńskiemu”, proponuję sięgnąć do prac litewskich genetyków, na przykład, największego autorytetu, profesora Vaidutisa Kučinskasa, który zbadał krew mieszkańców Litwy i krajów sąsiednich na przedmiot rozpowszechnienia alleli LWb, który utożsamiany jest z bałtyckimi genami lub bałtycką haplogrupą. Dodam, że haplogrupą nazywamy grupę podobnych ze względu na wspólne pochodzenie

haplotypów, czyli serii alleli genów, położonych w specyficznym miejscu na chromosomie. Badanie występowania haplogrup pozwala na śledzenie migracji populacji.

Otóż największa spotykalność tej „bałtyckiej” haplogrupy występuje na Łotwie (wskaźnik 6.0) i na Litwie (5.7). Jak natomiast rozpowszechniła się bałtycka haplogrupa w regionach Litwy? Na Żmudzi wskaźnik ów waha się w granicach 6.0-7.5, w Aukstocie – 5.1-6.6. A na Wileńszczyźnie? Tylko 2.7! W Polsce rozpowszechnienie bałtyckiej haplogrupy sięga 2.0, podobny wskaźnik dotyczy też europejskiej części Rosji. Przy tym warto pamiętać, że fale tzw. repatriacji do Polski w powojennych latach były znaczna, a badania, których dane przytaczam, odbyły się w okresie, gdy to już nastąpiło. Innymi słowy, gdyby Wileńszczyzny nie opuściło kilkaset tysięcy ludzi, głównie Polaków, wskaźnik haplogrupy bałtyckiej byłby zapewne jeszcze mniejszy.

Zresztą, naukowcy, w tym też litewscy (prof. Gintautas Česnys) zauważają także istniejące różnice antropometryczne u ludzi z Wileńszczyzny w porównaniu z resztą Litwy i Żmudzią. Haplogrupa R1a1, którą uważa się za najbardziej typową dla Polaków, Białorusinów i Zachodnich Ukraińców, na mapach rozpowszechnienia zahacza przede wszystkim o Wileńszczyznę, w znacznie mniejszym stopniu – o Aukstotę i prawie nie występuje na Żmudzi. Te dane nie mogą być żadnym pretekstem do roszczeń i daleko idących wniosków politycznych, ale do namysłu i refleksji, owszem. Litwini powinni zrozumieć, że ojczyzną Polaków Wileńszczyzny jest Litwa, nie są generalnie spolonizowanymi Litwinami i nikt nie ma zamiaru przyłączyć Wileńszczyzny do jakiegokolwiek państwa, ponieważ szczerze za Mickiewiczem każdy zamieszkały tu Polak powie: „Litwo! Ojczyzno moja!”. W dobie XXI wieku byle myślący człowiek decyduje o swojej przynależności narodowej i jest wielkim nietaktem perswadować o rzekomo innym pochodzeniu, tym bardziej przy użyciu etnolingwistycznych kombinacji.

Wiele toponimów i hydronimów na Wileńszczyźnie jest także słowiańskiego pochodzenia, choć znaczne istnienie litewskich wcale nie musi być pretekstem do lituanizacji. Przytaczająca większość toponimów i hydronimów w Alzacji jest niemiecka. Tymczasem obecnie żaden Niemiec nie dopuszcza aluzji, że tutejsza ludność jest pochodzenia niemieckiego. To nie tylko sprawa polityki, ale także etyki i kultury.

Miejmy nadzieję, że naród litewski uleczy się z choroby lituanizacyjnej, stonuje wadliwe stereotypy i Nadniemeńska Kraina zakwitnie niczym piękna mozaika, złożona z różnych narodowości. Że każdy nie-Litwin będzie uważał ją za troskliwą matkę, a nie macochę, która nie omieszkuje krzywdzić przybrane dzieci, a Polacy, jako przedstawiciele rdzennej (sic!) mniejszości będą nieskrępowanie korzystali z możliwości oświaty w języku ojczystym, przynajmniej nie w mniejszym zakresie niż w czasach sowieckich.

Polacy Litwy, a także litewscy Białorusini, no, i ma się rozumieć, etniczni Litwini, w równej mierze są spadkobiercami Wielkiego Księstwa Litewskiego i jej dziećmi. Gdy komuś dzieje się krzywda, jest to wbrew sprawiedliwości historycznej i Litwę osłabia. Polacy Litwy szanują dziedzictwo unijne, ponieważ jest to dobrowolnie przyjęte dziedzictwo ich przodków. My o tym pamiętamy, ponieważ Witowt wraz z Jagiełłą położyli swoją pieczęć pod m. in. słowami: „Jeśli kto pod jej (Unii) skrzydła się schroni, znajdzie bezpieczeństwo i nie będzie się obawiał znikąd napadu; przez nią prawa się tworzą, królestwa porządkują i stan Rzeczy Pospolitej do najlepszego końca dochodzi; ona się we wszystkich cnotach wybornie mieści, a — kto nią pogardzi, ten wszystko utraci”. A w samym końcu: „W imię Boże amen. Na — wieczną — pamięć”.

Książę Witowt-Witold Fot. archiwum



Niech powyższe słowa władców, a nie litewskich demagogów, którzy musieliby łączyć wszystkich obywateli Litwy, skłaniają ku pamięci, żeśmy tacy sami spadkobiercy dziedzictwa Wielkiego Księstwa Litewskiego. By nie uwłaczać godności księcia Witowta-Witolda, niech zaprzestaną siać nienawiść do wszystkiego, co polskie, przykrywając się rzekomo dziedzictwem narodowym. Z drugiej strony ani Krewska, ani



potwierdzająca pierwszą — Horodelska, ani Lubelska unie nie przewidywały żadnych planów polonizacyjnych. Urzędy na Litwie otrzymywali ludzie miejscowi, przywiązani do Litwy i strzegący jej praw, z —własnej chęci — decydując o mowie.

Kanonik Mikołaj Dausza, wielce szanowany przez etnicznych Litwinów, jeszcze w 1599 roku pisał: „Język polski przez ono miłe zjednoczenie Wielkiego Księstwa Litewskiego ze sławną Koroną Polską na Litwie niemal przyrodzony jest”. Dlaczego Litwini nie chcą zrozumieć istoty słów twórcy litewskiego prawa

konstytucyjnego, patrioty Litwy, chociaż litewskiego Polaka Michała Romera, który sprecyzował: „Polacy na Litwie stanowią typ psychiczny i związek społeczny swoisty, jeden z rdzennych krajowych”?

Na Wileńszczyźnie od dawna istniała wielojęzyczność. Zresztą, jak zrozumieć fenomen, że chociażby w rejonie solecznickim obok istnieją wsie litewskojęzyczne, białoruskojęzyczne i polskojęzyczne. Czyż zatem „polonizatorzy” pewne wsie potrafili spolonizować, a inne nie? Nie ma dowodów na to, by prowadzono jakąkolwiek zróżnicowaną politykę wobec różnych wsi. Przy czym, polskojęzyczna wieś niekoniecznie była wsią z kościołem, najbardziej oskarżanym o polonizację.

Nieraz nacjonalistyczni oszołomi litewscy, zarzucają Polakom, iż nie znają dobrze polskiego, a przez to nie są Polakami, ale spolszczonymi Litwinami. Taki zarzut, jakoś dziwnie omija Tatarów, Żydów i Karaimów, najczęściej wcale nie znających swojego języka. Ci oszołomi, nie chcą zrozumieć, że mimo rusyfikacji, a teraz lituanizacji, zostaje pamięć rodzinna i tradycje, nawet jeśli poddana na szwank pod presją asymilatorów.

Obok polskiego rdzenny język litewski podwileńskich wsi istniał tu od wieków, znacząco zresztą się różniąc od oficjalnie przyjętego języka litewskiego. Rzesze litewskich etnologów, lingwistów i historyków rozczulają się nad tą odmianą języka litewskiego, przesiąkniętą polskimi lub białoruskimi wyrazami, natomiast wobec polskiego języka Wileńszczyzny czują awersję i posługują się jego specyfiką dla uzasadnienia własnych nacjonalistycznych zapędów.

Wypowiedziałem wszystkie powyższe argumenty, bynajmniej nie mając zamiaru „ugryźć” etnicznych Litwinów, ale w przekonaniu, że mamy swoje ważne argumenty, pomijając konwencje międzynarodowe bądź Traktat Polsko-Litewski. By dojść do porozumienia, jak nigdy potrzebny wysiłek i rozsądek z obu stron, ale także życzliwe kroki, przede wszystkim większości, bo jest liczniejsza i silniejsza; potrzebna wzajemna chęć znormalizowania sytuacji. Zamordyzm lingwistyczny jak też polityczny oraz brak konstruktywnego dialogu, polityka, bazująca na przekonaniu, że tylko etniczni Litwini są absolutnymi gospodarzami, a Polacy – niemalże przybłędami, prowadzi donikąd.

